



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60. .
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

OSOBISTE WSPOMNIENIE

Z ŻYCIA MARYI SOMERVILLE,

przez jej córkę

Martę Somerville.

(Personal recollections from life of Mary Somerville, by her daughter, Martha Somerville—London—1874).

Życie kobiety sławnej, życie kobiety uczzonej w kierunku najmniej dotąd dla kobiet dostępnym — umiejętności ścisłych, jest z wielu względów ciekawą książką, a tem ciekawszą może że ją kreśli pióro córki. Jestto więc głos idący od domowego jej ogniska, głos jakby ducha jej rodziny, który odzywa się z sądem — pośmiertnym, jak czytelniczki nasze już wiedzą — i odkrywa światu drugą stronę jej osobistości, stronę nieznaną ogółowi, który w Maryi Somerville widział tylko znakomitą autorkę *Mechanizmu niebios*, *Geografii fizycznej* ¹⁾, przyjaciółkę Hershla i Humbolta. Uczoność w kobiecie dotąd jeszcze przestrasza wiele osób; umysły, zkadinał wolne od przesądów, nie mogą przecież pogodzić pojęcia kobiecości z uczonością i w przekonaniu ich kobieta uczona musi koniecznie wykoleić się ze zwykłego toru dróg niewieści, być wyjątkiem w swoim rodzaju, szczególnością zjawiskową, czyli istotą stojącą po za przyrodzonym rzeczą porządkiem, nie harmonizującą z ogólnym łańcem świata.

W następstwie tych przekonań, kobieta uczona stałaby wśród ludzi samotnie; myśl kobiety potężniejsza, życie umysłowe tryskające strumieniem szerszym, zabijałyby w niej to drugie życie ducha, którego źródłem jest serce — życie uczucia. Dla tego kobiety uczone jeszcze dziś budzą w massach pewną odpychającą trwogę, pewne niedowierzanie, dla tego matki lękają się dla córek uczoności.

— Chcę, aby przedewszystkiem była szczęśliwą, chcę, aby spełniła swe obowiązki, mówi matka wyjmująca z rąk córki książkę poważną i ze względu na moralne prawa obowiązków kobiety, broni jej umysłowi naturalnego rozwoju. Ze ta niesłuszność, ta niesprawiedliwość jest przecież skutkiem przyczyny szlachetnej, że ta troska macierzyńska jest w gruncie swoim zaćmą, ucziwają, pomiatają nią nie należy, choćby zapytać się pragnęło: dla czego społeczeństwo w ogólności, a matki w szczególności nie lękają się podobnie dla kobiety owej płochości myśli, która spychając ją w nicosć, lekkomyślność, w próżny wir marnotrawnego życia, wydziera ją najwyższemu obowiązkowi, zabija w niej najdroższe uczucia, czyni małoduszną, a nieraz ciężko grzeszną istotą?

Życie Maryi Somerville przedstawia wysoko interesujące studjum psychologiczne, które matka lękająca się uczonej córki niech z uwagą przeczyta, bo ta matematyce i astronomii poświęcona kobieta była dwukrotnie małżonką, była matką czworga dzieci, które własną wykarimiła piersią i w niepospolicie długiej kolei dziewięćdziesięciu dwóch lat życia przebiegła cały zakres przeznaczonych kobiecie prac i obowiązków. Jak się z nich wywiązywała, czem była między czterema ścianami swego domu, w kole rodziny swojej? Opowie nam świadek niezaprzeczonej prawdziwości. Życie matki, kreślone ręką córki, jest wzruszającym pomnikiem, najpiękniejszym mauzoleum i jak powtarzam, mieści w sobie interes niezwykłego rodzaju, choć kreśląca je miss Somerville, nie zdaje się być pewną tego. — „Życie kobiety, od danej zupełnie rodzinie i pracom naukowym, nie do-

starcza biografowi obfitego materiału“ — pisze na wstępie, ale ten brak właśnie już jest pewną podniętą do zajęcia, bo czytelnik zostaje z góry uprzedzonym, że życie sławnej kobiety, było życiem cichem i skupionem, że wysoka nauka, którą sobie zdobyła, przyszła jej spokojnie, łagodnie i zasiadła z nią przy jej ognisku domowym, gdzie widać godziła się dobrze z tem, co tam została — z obowiązkami kobiety w rodzinie, gdyż nie wniosła za sobą rozstroju i niespokojnych tych wzruszeń, któreby były zakłóciły jego cichość, wniosły żywioł dramatycznego patos — dostarczyła „obfitego materiału dla biografu.“ Marya Somerville — jak dodaje autorka *Wspomnień* z jej życia, nie prowadziła nigdy z nikim korespondencji, w którejby odkrywała głębsze strony swych uczuć i dzieje prywatnego życia, to też prócz pewnego rodzaju pamiętnika z lat młodych, z którego córka czerpać mogła, reszta faktów, ciąg życia tego składających, doszła ją z ustnych jedynie wspomnień rodziny. Ztąd to może zbywa im na pewnej gorącości kolorytu, brak im pewnej żywszej liryki, ale za to czytelnik czuje w nich prawdę niezmiernie ubarwioną; żadnych sztucznych drapeyri, żadnej konwencyonalnej skromności, i rzec można, że jest to właśnie dopiero „materiał dla biografu,“ któryby z prostego ciągu wypadków zbudował historję żywota sławnej kobiety, żywota tak cichego, jak wszystko co jest głębokie. Marya Somerville była Szkotką, pochodziła z rodziny takiej wyższej szlachty szkockiej, która by u nas karmazynową się zwała, a choć bardzo młodo „stała się liberalną“ jak w pamiętniku swym wyznaje, życie jej całe upłynęło mniej więcej w tych wyższych sferach towarzyskich, w których kobieta może łatwo stać się lalką salonową. Ona stała się osobistością niepospolitą, a choć wszystko, co na to złożyć się potrzebowało, zdobyła sobie sama, własną pracą, staraniem, a nawet własną inicjatywą, pod natchnieniem wyłącznie własnego ducha, wychowanie jakie odebrała, było przecież o tyle dobrem, że nie stłumiło w niej żadnego ze szlachetnych ducha jej

¹⁾ Dzieła Maryi Somerville są: *The Mechanism of Heavens*—1831.—*The Connection of the Physical sciences*—1858 (9 editions), *Molecular and Microscopic science*—1869. *Physical Geography*—(6 editions) 1870.

połotów. Urodzona w Jedburgh dnia 26 grudnia 1780 roku, była córką Sir Williama Fairfax, admirała i Pelagii Charters, córki wysokiego szkockiego urzędnika, a dziwnym zrzędzeniem losu przyszła na świat w domu przyszłego swego męża; matka jego przyjęła ją pierwszą na ręce swoje i pierwszy pokarm ze swojej dała piersi, a urodziny dziecięcia otaczały smutne i niezwykle okoliczności. Był to bolesny dla Anglii czas zbliżający się do końca wojny amerykańskiej i młody ojciec — wtedy dopiero porucznik fregaty — odpływał na dalekie morza drugiej półkuli świata, aby tam walczyć i może nie wrócić nigdy do domu i gorąc kochanej żony, która już przepłakała z pierwszym dzieckiem na rękę, dwuletni rozdział, niewolę męża we Francji. Teraz, gdy drugie dziecko przyjść miało na świat, on znów musiał rzucić kraj i rodzinę, a żona niezdolna znieść łatwo rozłączenia, chciała z nim być do ostatniej możliwej godziny i odwrotnie odprowadziła go do londyńskiego portu, skąd odpływał. W czasie samotnego już łądem powrotu do domu urodziła się córka, szczęściem, że nie pod zupełnie obcym dachem, bo dom siostry, stojący na drodze, przyjął biedną matkę, tak ciężko chorą, że dziecko jej zapotrzebowo mleka piersi cudzej i ciotka, a zarazem przyszła świerka nowonarodzonej, ujęła go swemu dziecku, aby pospołu z niem karmić dziecko chorej siostry. Szczegół ten, prosty na pozór, ma przecież wrzuszającą w swoim rodzaju wymowę: opowiada piękną, rzewną powieść o dobrej, spójnej, tkliwie kochającej się rodzinie, która przybywającą istotkę młoda przyjęła zaraz na progę życia miłością i ofiarą serdecznego poświęcenia. Taką też była niezmienną atmosfera, w której rosło dziecko, mające być kiedyś sławną kobietą i dlatego tak się w niej urobiło, tak się ukształtowało serce, że pozostała na zawsze kobietą kochającą. Nie jest to w życiu indywidualnym mało znaczącą rzeczą — i klucza do wielu późniejszych wypadków, nieraz do całego kierunku życia ludzkiego, trzeba szukać w pierwszych wrażeniach dzieciństwa. Charakter domu ojczyźnego staje się często charakterem człowieka, a zawsze jest jego częścią znaczną. Marya Somerville przyniosła z sobą na świat to szczęście wielkie, że się urodziła w rodzinie, która nauczyła ją kochać. Wszystkie jej wspomnienia o matce, ojcu, o jedynym bracie, którego straciła wcześniej, są miłe i słodkim uczuciem przywiązania dyktowane. Zaleca je przytem pewna surowa prostota staroświeckiego pożycia rodziny, która nawet stanowi artystyczny wdzięk książki. Opisy dziecinnych i dziewczęcych lat Maryi Somerville są najciekawszą częścią *Wspomnień*. Przecież liczne te obrazki, które się przyjemnie czytają, mogą, a raczej powinny mieć dla psychologa i pedagoga poważniejsze znaczenie. Matka głównie chowała córkę, zobaczmy zatem jak ta postać zarysowała się na tle młodzieńczego życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Stary zamek. — Zarząd majątkowy. — Panna Celkowa. Satyra Krasickiego. — Uratowanie fortuny magnackiej. — Paweł Niemira i jego matka. — Podlesie. — Wypadek i ratunek. — Poznanie.

Kiedy Rzewuski wieczorem przyszedł na zwykłą pogawędkę ze swoim ukochanym panem, wojewoda wyrzekł:

— No! mój Jasiu! mam tedy piskłę dorodną i w dobrych pierzach: poprawimy nasze interesy majątkowe i odetchniemy swobodnie.

— Daj to Boże! Jaśnie Panie! odpowiedział smutnie Rzewuski, spuściwszy głowę, ale mnie się wydaje, że się nasze rządy już skończyły.

— Z czegoż to wynioskował? zapytał chmurno pan zamek.

— Dość mi raz na dostojną wojewodzinę spojrzeć, mówił wzdychając kredencierz, a wreszcie czas to pokaże.

Sprawdziły się słowa wiernego sługi. Po wytechnieniu z podróży pani Gertruda rozpoczęła swoje rządy. Przedewszystkiem zapewniła sobie wyłączne rozporządzenie własnym posagiem. Wojewoda chciał go ogarnąć, ale żona ostro i energicznie postawiwszy się, wprawiła go w podziwienie, potem w gniew, a nakoniec w uległość. Nie wyszło miesiaca, pani zamek była tylko słuchaną, jej rozkazy wypełniano, a podsiewały mąż, olśniony wdziękami i rozumem swej *panny*, jej stanowczością, chętnie podał się pod jarzmo.

Rozpędziła przed końcem roku wielu rezydentów i darmozjadów, zostawiając tylko niezbędną liczbę sług i dworzaków. Zaprowadziła ład i porządek w gospodarstwie, oszczędność w domu, chociaż zachowała gościnność i wspaniałe przyjęcia krewnych i sąsiadów, szczególnie w dniu uroczyste, jakimi były jej i wojewody imieniny, albo święta Bożego Narodzenia i Wielkanocne.

Krok za krokiem coraz większą zdobywała władzę, a małżonek, widząc nietylko pomnażający się dostatek, ale i znikających z każdym dniem naprzykrzonych niedawno wierzycieli, nie miał słów na uwielbienie żony, przed zaufanym kredencierzem, który tylko kiwał siwą głową, ale słowa nie odpowiadał.

Wojewoda miał godziny oznaczone, które mu żona przeznaczala; z początku zwał ją *panienką*, następnie *panią*, a w ostatku *panią wojewodziną*.

któż *pannę celkową* tak natchnął? kto wskazał tryb postępowania, o którym nie mogła zasłyszeć w klasztorze?

W długich wieczorach zimowych, gdy już blizką była ukończenia nauk u zakonnice, wzięła przypadkiem do ręki *Satyry Krasickiego*; w nich szczególnie przypadła jej do smaku jedna p. n. *Zona modna*.

Chęciwie ją odczytywała po kilka razy, nauczyła się nawet na pamięć i tę typową postać poety, obrała sobie za jedyny wzór do naśladowania.

W młodej głowie Gertrudy, wszystkie ujemne strony *modnej żony*, które Krasicki chlostał ostrą bronią satyry, właśnie były najwięcej pociągającymi i godnymi do naśladowania.

Jedna rzecz tylko wstrętną się jej zdawała, którą uwydatnił poeta, to jest zbyt kowe życie i marnotrawstwo własnego mienia, gdyż z pod rodzicielskiego dachu, wyniosła oszczędność przyzwoitą, daleką od skąpstwa. Pamięć jej dziecinna zachowała wspomnienie matki, która ład gospodarski w całym dworze z dostatkami połączyci umiała.

Satyra Krasickiego pierwszą jej myśl z początku zdrożną obudziła, że związek małżeński może być rozterwanym, ale gdy w samotnej celce zaczęła ją rozbierać spokojniej, uznała, że ta swoboda ma zasadę sprawiedliwości; bo dla czegoż dwie istoty mają chodzić razem w jednym uciążliwym jarzmie, gdy przestały się kochać i nienawisć je rozdziela? Lepiej się rozłączyć, niż męczyć wspólnie i tylko wywoływać zgorzniecie....

Prawda ta zdobyta przez Gertrudę, napełniła ją radością, bo pogląd nowy na stan małżeński wywoławszy, zamieniła go w niewzruszone przekonanie.

Serce jej nie uderzyło jeszcze żadnym uczuciem, i *Zona modna* nie dała najmniejszego powodu do poruszenia duszy z uspienia. W całej satyrze o miłości nie znalazła ani słowa, a z rozkoszą odczytywała ten ustęp:

„Przyszło do intercyzy. Punkt pierwszy, że
[w miesiąc]
Jejmość przy doskonałej francuzkiej niewieście,
Co lepiej, bo francuzka, potrafi ratować,
Będzie mieszkać, ilekroć trafi się chorować.
Punkt drugi; ebocią zdrowa, czas na wsi prze-
[siedzi,
Co zima jednak, miasto stołeczne odwiedzi.
Punkt trzeci: będzie miała swój *ekwipaż* własny.
Punkt czwarty: Dom się najmie wygodny, nie
[ciasny;

To jest, *apartamenta* paradne dla gości,
Jeden będzie dla męża, drugi dla jejmości.

Punkt piąty: a broń Boże! zląkłem się:—A czego?

— Trafia się, rzekli krewni, że z zdania wspól-
[nego

Albo się węzeł przerwie, albo się rozłączy—

— Jaki węzeł? — Małżeński! — Rzekłem: Ten
[śmierć kończy.

Rozśmieli się z wieśniackiej przytomności prostoty“.

Rozbierała go długo, rozmyślała dłużej nad nim, ażeby go zastosować do życia, gdy pierwszy raz w wir światowy wejdzie.

Wiedziała, że jest aż nadto bogata, bo sumienny opiekun, blizki pokrewiny jej matki, szanowany powszechnie obywatel, zamożny, w sąsiedztwie ojcowego dworu zamieszkały, rok rocznie przysyłał rachunki Gertrudzie, z których się przekonywała—że mienie jej posagowe coraz się powiększa i piękna gotowizna w kufkach do jej rozporządzenia jest złożona.

Przy zakonnicach i przełożonej, ile razy nadszedł plik papierów od opiekuna, rzucala nań pozornie obojętnym okiem, co wywoływało powszechnie uwielbienie dla bogatej jedynaczki, że tak mało dba o światowe dobro. — *Panna Starsza* i jej bliższe siostry, rachowały, że Gertrudę wciągną do swego klasztoru i cały majątek zagarną; ale gdy czas właściwy nadszedł, wprawiła wszystkich w podziwienie: oświadczyła innym tonem, tonem wyniosłym, z podniesioną głową, że później pomyśli o uposażeniu zakonu, skoro się sama bliżej rozpatrzy i obejme cały zarząd dziedzictwa po rodzicach.

Chłodno pożegnała tak zakonnicę jak i swe potowarzyszki i śmiała stopą przechodzącą furkę klasztorne, wstąpiła na progi światowe.

Po roku pożycia z wojewodą uczuła jakąś samotność, tęsknotę niewysłowioną, pragnienia których określić nie umiała. Opanowanie władzy nad mężem, całym dworem i jego mieniem, już jej nie zadawala.

Pobył w pustym zamku, chociaż teraz ze smakiem artystycznym odnowionym, zdawał się jej za długim, za ciężkim. Zaczynała rok dwudziesty życia: sam kwiat młodości niewieściej! Błądząc po samotnych komnatach zamkowych, pochylała piękną głowę na piersi, wzdychała często, ale kryła gnębiący smutek przed mężem i podstoliną, którą dla swej rozrywki sprowadziła.

Poczcziwa matrona cieszyła się szczerze, patrząc na Gertrudę, na jej ożywione oblicze, rumieńcami szkarłatnymi zdobne, na uśmiech, który często po różanych ustach jak motyl na kwiatach przelatujący, nie umiając dopatrzeć goryczy, którą biedna jej krewna w samotnym dumaniu, pełną czarą wypijała.

Wojewoda głośno nie tał swej radości, gdy przy końcu roku pożycia, tak urocza małżonka przyszła do jego komnaty z oświadczeniem, że wszystkie długie dawne już spłacone, cała *fortuna* oczyszczona, a dochody z niej kilkakrotnie pomnożone.

Starzec z uniesieniem całował jej drobne rączki i pod niebiosą ją wynosił.

Kredencierz spoglądał na swą panią już innym okiem, jako na osobliwe zjawisko, radując się, że chmary lichwiarzy żydowskich i dawnych palestrantów zniknęły i żaden woźny z pozorem nie śmiał się ukazać. Powaga i znaczenie wojewody w całej okolicy wzrosły niesłychanie; przesadzone wieści—o jego bogatych skarbach, które żona znalazła zamurwane w piwnicach zamkowych—zaczęły obiegać i ten który przed rokiem stu dukatów nie mógł dostać, teraz pozyskał kredyt chociażby na setki tysięcy.

Przebiegli spekulanci wiedli go na nowe pokuszenia, podniecając dawną skłonność wojewody do pożyczek; ale ten nie potrzebując pieniędzy teraz, a szczególnie w obawie swej żony, stałe się opierał, podtrzymywany przez Rzewuskiego, który z wierzycielami tak gorące przechodził łaźnie przez lat kilkadziesiąt.

W pobliżu zamku, na małym folwarczku dziedzicznym, mieszkał *Paweł Niemira*, z matką swoją, już sędziwą i pochyloną laty. Była to matrona z zamożnej niegdys rodziny, obyta z wielkim światem, doświadczona, przytem wysoko wykształcona niewiasta. Nie były jej obce dwory, ani królewski, ani magnatów polskich; oddała rękę *Januszowi Niemirze*, który w skromnej chudobie żyjąc na je-

dnej wiosce o trzydziestu włókach, miał dostatek i szacunek w całej okolicy.

Bóg dał jej szczęście, o jakim zamarzyć tylko mogła; a gdy po 29 latach najzgodniejszego pożycia, mąż umarł, zwróciła całą swoją miłość do syna jedynaka, który odpłacał się wzajemnem przywiązaniem, połączeniem ze czcią ukochanej rodzicielki.

Rozumna i doświadczona matka, po troskliwym wychowaniu domowem, w dziesiątym roku wieku sama odwiozła syna do collegium księży pijarów w Warszawie, gdzie chlubnie szkoły ukończył; następnie słuchał prawa, a kiedy porwany młodzieńcem zapaleń, przywdział mundur wojskowy, pobłogosławiła go na drogę, przypominając swoje sieroctwo:

— Idź moje drogie dziecko, ale pamiętaj na samotną, biedną matkę, co każdą godzinę rozłączenia gorzkimi łzami płacą.

Po trzech latach, z krzyżem na piersiach, poczuł tęsknotę i opuszczenie rodzicielki; wrócił więc pod dach ojcowski, spełniwszy wszystkie obowiązki. Po został mu dług ostatni—wdzięczności dla ukochanej matki.

Prędko pod jej czułym okiem wydobrzeł z ran i trudów obozowych, zajął się gorliwie i umiejętnie gospodarstwem, a sędziwa matrona na nowo odżyła mając wielką pociechę w swoim wdowińskim stanie.

W cichym zakątku *Podlesia*, gdyż takie miano ta wioseczka Niemirów nosiła, dobiegły ich wieści o godach weselnych najbliższego sąsiada pana wojewody, bo tylko o graniczną miedzę, o przybyciu pięknej jego małżonki i o jej rządach wszechwładnych. Sędziwa wdowa uśmiechała się na nie z początku; następnie widząc że zostało podniesione gospodarstwo, a spląceni wszyscy wierzycciele, zaczęła omlodej pani zamku z zajęciem rozmawiać z synem.

Pan Paweł wracał od kosiarzy, gdy usłyszał krzyk przeraźliwy i ujrzał dwa rozhukane konie pędzące bez furmana, w szalonym galopie, a w *kabryoletcie* młodą i wybladłą kobietę. Lejce ciągnęły się po ziemi—niewiele się namysłając, przyskoczył, pochwyił je i po chwili silną ręką powstrzymał rozbiegane rumaki.

Było to już blisko pod bramą jego dworu, skierował więc na podwórze i zajechał przed ganek, na którym stała jego matka.

Młoda kobieta siedziała w pojeździe jak posąg kamienny: białe marmurowe oblicze, podnosiło jeszcze blask czarnych oczu. Tak była przerażona, że się ruszyć nie mogła. Pan Paweł oddawszy spienione konie służbie stajennej, sam na znak matki, stanął na stopniach kabryoletu i podał siedzącej nieruchomie rękę; ta za ledwie potrafiła wysiąść, gdy się osunęła i byłaby upadła, gdyby nie porwał jej na ręce i nie przeniósł do komnaty swej matki.

Pani domu z pomocą kobiet dworskich zaczęła ją trzeźwić i dzięki temu staraniu, nieznaną w krótkie wróciła do przytomności. Była to pani Wojewodzina, którą ten wypadek zbliżył i poznał z Niemirami.

Dano znać do zamku, właśnie nie było w nim Wojewody, który na parę tygodni wyjechał do Warszawy. Rzewuski przeto kazał zaprzędz do karety i sam przybył, ażeby zabrać swoją panią.

Z niemałym podziwieniem zastał ją przy stole dostatnio zastawionym, w towarzystwie matki i syna, nadzwyczaj ożywioną i rozmowną. Wróciły rumieńce, spojrzenie nabrało szczególnego blasku. Przy odjeździe z serdecznością niezwykłą zapraszała oboje do zamku, ażeby im swoją wdzięczność okazać.

Tego wieczoru, gdy matka z synem pozostali sami, pierwsza się odezwała:

— Ale to piękna i bardzo dorzeczna pani, co za szkoda, że tak starego wybrała sobie męża! Widać (dodała po chwili) serce jej nie uderzyło jeszcze pierwszym uczuciem miłości.

Pan Paweł milczał ze spuszczoną głową, parę razy westchnął zgłębił piersi, ale na ostatnie słowa matki, jakby orzeźwiony, rzekł z uśmiechem:

— Zapóźno już by serce przemówiło, kiedy milczało w niej tak długo.

— Mój Pawle, mało znasz kobiety, ta, jak słyszałam, klasztorne chowu panna, nie dziwota, że zdala od świata, w grubych murach celi wyrastają na dziewicę, nie miała sposobności znać nikogo.

— Ale kochana mateczko, słyszałam także, że jako niezamężna jeszcze, miała dom otwarty w War-

szawie i liczne grono wielbicieli. Nawet jeden z moich kolegów w niej się zakochał, ale gdy bliżej poznał tę marmurową pannę celkową, jak ją wtedy zwano, usunął się i lubo z bólem serca, z inną się ożenił.

— No to się prędko pocieszył,—odrzekła matka i śmiać się zaczęła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SOFONISBA

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Emanuela Geibla

przełożył z niemieckiego

Józef Grajert.

(Dalszy ciąg).

AKT II.

(Dekoracje te same. Ślady spustoszenia: stół przewrócony, naczynia rozrzucone po ziemi. U drzwi na lewo dwaj rzymscy legionisanci na straży. W chwili podnoszenia zasłony wchodzi Torkwat i zbliża się ku Massynissie, który otoczony numidyjską starszą postępuje na przód sceny).

Scena 1.

Massynissa.—Torkwatus.—Przywódecy.—Straż.—Potem Hiram.

MASSYNISSA.

Zatknąć na wałach orły! Teraz mogę dać Scypionowi znać o obietnicy, że dokonana.

Dago, staw załogę

Z mych Libijczyków w zamku i stolicy I bez odwołki każ bramę zburzoną Naprawić. Torkwat, ty masz ztąd niezwłocznie, Gdy wojsko kohort italskich odpocznie, Pomknąć z niem naprzód, i wciąż wschodnią stroną Dążąc, pokryjesz dalsze me pochody. Ja sam zostanę. Ważne mnie zachody Wstrzymują tutaj. A gdzie jest królowa?

TORKWAT (*wskazując drzwi na lewo*)

Siedzi na wieży. W tem już moja głowa, By nam nie umkła.

HIRAM (*wpada temiż drzwiami i rzuca się przed Massynissą*)

Miłosierdzia, panie!

Bądź litościwy, okaż zmiłowanie Królowej mojej! Niech próżno nie proszę U stóp twych klęcząc, z lica twego wnoszę Żeś jest nam rodak; więc ratuj wspaniałe Tę, którą ciężkie zabijają zale.

TORKWAT

Lzy kobiet prędko schną.

HIRAM

Oh okrutniku!

Gdybyż płakała, gdybyż w dzikim krzyku, Królewskie szaty targała u łona! Lecz jak trup suchem okiem zapatrzona W swoje kajdany, zda się tak zdrętwiała, Jak żadna pustyn afrykańskich skała.

MASSYNISSA

W kajdanach, mówisz?

TORKWAT

Tak zwyczajnie każą

Częstować jeńców, co się rzucić ważą W bój z republiką.

MASSYNISSA

Toż kobieta przecie, I wiesz, żem kiedyś znał ją blisko

TORKWAT

W świecie

Rzymianin tylko zna druha lub wroga... Lecz, gdy rozkażesz—

MASSYNISSA

Wzywa cię twa droga; Spełń, com rozkazał!

(*Torkwato odchodzi*)

Wy, na stanowiska! Nad tą kobietą sam rozciągnę ramię I dam opiekę.

(*Na skinienie Massynissy, starszyna i straż odchodzi*)

Królowa odzyska Wolność dla siebie. Weź, chłopcze, to znamię Meją władzę—piersień—śpiesz, rozkuj twą panią. Powiedz, że czeka Massynissa na nią.

HIRAM

Dzięk!

(*Wychodzi drzwiami na lewo*).

Scena 2.

MASSYNISSA (*sam*)

Napróżno wzywam zapomnienia! Serce wciąż burzy się—w nurtach tej fali Nie nie przepada i nie się nie zmienia... Gdzie dziś hart duszy?! krew znówu się pali. W tajniki serca wdziera się wzburzona, I lęk mnie przed nią objął taki prawie, Jakby tu była pogromczynią ona.— Miałem ją spotkać nie w takiej postawie! Dumnie okazać chciałem litość dla niej, Zimno jej smutne zmienić położenie, Wyniosła dłońią dać lek na cierpienie; Tak chciał wżgardzony mścić się na tej pani— Darmo! Złe poszło. Na tę myśl jedynie Że w jej oblicze spojrzę, tracę siły,— Jak gad zdrętwiały w poranku godzinie Odżyje w słońcu, tak się przebudziły Nagle w mej piersi żądż przychyletych roje. Czyż je poskromię?—Znam—że chęci moje?... Cóż mi z tych rojeń! Niech dusza wzburzona Milczy i czeka...

Scena 3.

Massynissa.—Sofonisba, wsparta na Tamarze, pokazuje się we drzwiach na lewo.

MASSYNISSA

Sofonisba! Ona!

I wciąż tak piękna! Na wieczyste bogi! Witam cię! Gwiazdzie to mojej przewodniej Wdzięcznym być muszę, żem znów wszedł w twe [progi;

Bom ja przyjaciel.

(*Chce jej podać rękę*)

TAMARA

Okrutny! precz od niej. Daj czas dla strasznie dotkniętej ofiary Myśli w ład zebrać. Czyny twe—wyrodne!

MASSYNISSA

Dzika jest wojna; wódz musi przez szpary Na wiele patrzeć.

TAMARA

Ha! Słowa wygodne,

Któremi cynizmem osłania przed karą
Zbrodnie rozpusty i zdrady.

MASSYNISSA (*groźąc*)

Tamaro!

TAMARA

Groź, jak chcesz! Wyrzut mój zdławić tyś władny,
Lecz plam nie zmyjesz. Czyn twój bezprzykładny!
Wszakżeż to twoje śmiało zatknąć ramię
W świętym twych przodków grodzie rzymskie

[znamie;
Powiedz, jak mogłeś, człowieku bez duszy,
Wydać na pastwę okrutnych katuszy
Kobietę, co ci była niegdyś droga?
Mogłeś zatrzymać nad nią rękę wroga,
Mogłeś choć litość mieć w zdrady godzinie....
Mogłeś....

SOFONISBA

Tamaro!

TAMARA

O! niech słowo płynie,

W przedajnej piersi niech wyrzuty budzi....
Jeśli jest jeszcze w liczbie żywych ludzi
Jeśli techniesz jeszcze, o zdrajco zuchwały,
Jej to jest łaska—spójrz tam, za wały,
Tam na pagórek.... Gdys w świetnym szyszaku,
W śnieżystym płaszczu na pysznym rumaku,
Puścił się pośród surm zwyciężskich dźwięku,
Życie twe było złożone w jej rękę.
U jej kołczana wisało na strzale,
I darowała je tobie, wspaniale—
Dla wspomnień młodych.

MASSYNISSA

Co mówisz, przez Boga!

SOFONISBA

Kto ci, Tamaro, kazał los mój srogi

Przykrzejszym czynić przez skargę daremną?
Idź, proś bogini, oby ta nademną
Chciała rozpostrzeć tarcz opieki swojej
Bo czas jest ciężki.—Ten mąż, co tu stoi,
Przynosi wyrok mego przeznaczenia.
Jeżeli mnie błędne uniosły wzruszenia,
To znak, że samej ciężko walczyć z klęską.
Idź!

(*Tamara odchodzi środkowemi drzwiami*)

Scena 4.

Massynissa. — Sofonisba.

MASSYNISSA

Sofonisbo, jakież to spotkanie,
Pełne mąk, żalów! Wierz mi, jam zwyciężką
Dłonią cię dręczyć nie chciał. Lecz któż w stanie
Walczyć z powodzią, kto powściągnie zgraje
Wściekłe, tryumfu szalem upojone?
Burza już przeszła—ja przed tobą stoję
Jako przyjaciel na twoją obronę
Wszystko, co może uczynić, gotowy.
O, przemów tylko wspaniałemi słowy,
Spójrz przyjaźnie.

SOFONISBA

Cóż pogromey w stanie
Rzec niewolnica? O łaski nie stoję!
Jam nie prosiła o twe posłuchanie.

MASSYNISSA

Zaciętaś; jednak tyś to życie moje
Oszczędzić chciała.... Twa zabójcza strzała
W imię młodości naszej lot wstrzymała.
Czemuż to skrywać, że błogie nam lata
Jeszcze twa pamięć w słodki czar oplata?
O! ja pragnąłem zabić pamięć ową!
Burzami wojen, wrzawą obozową—
Zgłuszyć ją chciałem i kłamałem sobie,
Że leży we mnie zabita jak w grobie.
Lecz ledwoś twoje ciemne, smętne oko
Zwróciła na mnie, a nagle głęboko

Blizny mych wspomnień otwarły się raną
Rozkoszną. Znów cię widzę w biel ubraną
W krążgankach ojca twego, gdzie w zachwycie
Ze słów twych brzmieniem nowe brałem życie.
Widzę się z tobą nad wód morskich brzegiem
Za antylopy płochę goniąc biegiem....
A tam, w czarownym tym cedrowym gaju,
Gdym cię siedzącą znalazł przy ruczaju,
Pióra flaminga głaskałaś czerwone—
A jam go ubił, uniesiony szalem....

SOFONISBA

Cóż niewolnicy po wspomnieniach?

MASSYNISSA

Chciałem
Mrocznej przeszłości odsunąć zasłonę,
By dawnych uczuć żary—znów zbudzone
W duszy ci mojej pokazać. Niestety!
I tyś kochała, nim serca kobiety
Ambitnych marzeń nie strawiły chęci.
O! wskrzęś ty przeszłość naszą z niepamięci:
A inny sąd już będzie nad mą żoną!

SOFONISBA

Twa żona! Żona Rzymianina! Raczej
Śmierć! Idź nad Tybrem szukać sobie żony.

MASSYNISSA

Namiętych uczuć twych zapal szalony
Zdrajcę mnie zowie w bezwzględności srogiej
Za to, że żem żebrak za ojezyste progi
Wyrzucon, chwycił się chętnie ofiary,
Którą Rzym dawał pomocny. Tyś z czary
Bólów wygnania nie piła kroplami!
Ja wtenczas byłbym wszedł w sojusz z harpiami!
Z duchem przepaści zawiązał przymierze,
Byle odzyskać to, co mi grabieże
Chciwych wydarły. Przez zemsty mej prawa
Świątą mi była działan moich sprawa;
Nigdy grzesznego żalu nie czułem trwogi,
Póki nie wszedłem w gmachu tego prog!
Po co mam tać? Tu, pod stopy memi
Uczulem nagle grunt ojezystej ziemi,
Tutaj ojezysty mej obraz wieielony....
Przełam te wstępu wzgardliwego lody!
Czego kochanek nie usłyszał młody,
Co kryła cicho wstydlivość dziewicy,
Niech dziś tak na jaw wyjdzie z tajemnicy,
Jak ja zwalczony przez twoją niedolę
Prawdem ci wydał gorącemi słowy.
O Syfonisbo!

SOFONISBA

Do Syfaksa wdowy
Mówisz, nieszczęsny! Krwią ocieka pole,
Na którym leży trup, odarty z szaty—
A ty śmiesz jednak....

MASSYNISSA

Śmiem bez czasu straty
Podać ci środek, przez który cię zbawię.
O! zaślepioną nie bądź! Czyliż jeszcze
Wspomnieć ci trzeba o żelaznem prawie,
Które tu rządzi? Srogie Rzymu kleszcze
Okrutnie schwyć królowę straconą....
Dzień mi już błyska jasno spromieniony
Spokojny powiew na serce wzburzone
Płynie—myśl wraca ku nadziei stronie,
A gwiazdy wspomnień urocze skinienia
Dają mi z niebios.

SOFONISBA

Obyś ich wieszczenia
Nie był zapomniał!

MASSYNISSA

A gdybym wznów w niebie
Szukał wskazówki? Gdybym gniew zawzięty
Jako rozbity puklerz precz za siebie
Odrzucił? Gdyby też syn odepchnięty
Zrzekł się nadziei z zewnątrz mu podanej,

Zaszczytów rzymskich, przyjaciela dłoni,
I do ogniska matki, pojednany,
Wrócił dziś, w pełnej niebezpieczeństw toni,
By jej obrońcą zostać—być jej synem?

SOFONISBA

To co!....

MASSYNISSA

Rzeknij, a stanie się czynem
Twój rozkaz! Klnę się na niebios sklepienia,
Duszo niezłomna! spełnię twe życzenia.
Tyś mnie sądzona. Takiej się kobiecie
Oprzeć nie zdołam, a chociaż nie mierzę
Mych win twą miarą, toż pojmuję przecie,
Co czynić, by wejść z duszą twą w przymierze.
Tu nie o szczęście idzie tylko twoje—
Jakichś ogromnych widzeń obraz roję:
Przedemną państwo niezmierzone rośnie,
Od gór Atlasu aż po morskie fale;
Pod jedną głową kupią się radośnie
Ludy Afryki, aż tam gdzie wspaniale
Wóz słońca tocząc koło brylantowe,
Żar prostopadle spuszcza nam na głowę,—
I Negr, co dzikość umie zwalczyć w słońcu,
I ów pustyni dumny syn na koniu,
I Chananejczyk, co morzu przewodzi —
Cóż to za przestwór! I wszystko, co rodzi
Ten ogrom władztwa, przepych, moc oręża,
W obręcz się złotej okuwa korony,
A ta korona—twoją! Czyż więc męża
Tego odepchniesz, co, dumnie wzmógłony,
Tę ci koronę niesie?

SOFONISBA

Nad wypadków szczyty
Bujasz wysoko. Strzeż się, by ci loty
Nie ogorzały! Na marzeniach wzbity
Łatwiej w powietrzu zbudujesz tron złoty,
Niż krok niezbędny, krok jeden jedyny
Na twardym gruncie postawisz.

MASSYNISSA

Spełnienie
Marzeń być może blizkie. Tej godziny,
Jeżeli przyzwolisz, sny me w czyn zamienię.
Znać, Bóg mię natchnął, Torkwata krnąbrnego
W pustyniem wysłał. Ciebie więc opiece
Mych Libijczyków powierzam, sam leczę
Na rączym koniu do obozu mego.
By ci Numidów przyprowadzić roje.
Łatwo Rzym zjednał ten lud w imię moje;
Dziś ich pociągnie sobie bez zachodu
Królowa Cyrty. W siłę tego grodu
Ufam, niech Scypion te mury oblegnie,
Cała Italia niechby te kruszyła,
Oprzem się, póki Gisgon nie nadbiegnie.
Lat dziesięć Troja Heleny broniła, —
I Kartaginy w odsiecz nie miała.
Mów, czy się zgadzasz, czy chcesz?—

SOFONISBA

Tak.

MASSYNISSA

Dziękuję
I za to skape słowo! Dość się czuję
Zbrojnym na wielkie rzeczy. Piers mi pała—
Dank ci za przyszłe bohaterские czyny.
Nateraz żegnaj! Szybko niech się wzmoże
Obrona Cyrty; potem tam, w doliny,
W lot do Numidów, a żegnając, może
Jeszcze mi słowo dorzucisz nadziei.

(*Odchodzi śpiesznie środkowemi drzwiami*).

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

HISTORIA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Jadzia natychmiast chciała biec na górę, ale ją Miecznikowa zatrzymała łagodnie:

— Poczekał, moje dziecko, rzekła, nie przerywajmy mu snu, potrzebuje go wiele. Książd Żudra da nam znać, pójdziemy razem.

Jadwisia się zarumieniła. Spójrzała na matkę, nie odpowiedziała nic i usiadła smutna.

Książd zastał na górze Janasza uspiętego głęboko i pilnującą go kobietę, także snem zmożoną. Usiadł z brewiarzem około łóżka, oczekując przebudzenia.

Tak upłynęła godzina może, westchnienie słysząc się dało, potem krzyk i Janasz się zerwał, oczyma przestraszonymi wodząc do koła.

Książd Żudra zlekka go ujął za rękę.

— Przeżegnaj się — rzekł, opamiętaj się — no — i powiedz mi, jak się czujesz. Po chwili dopiero mógł mu odpowiedzieć Korczak zbrawszy myśli i ochłonawszy z marzeń nocnych.

— Czuję się trochę osłabionym — rzekł.

— A ból w ranach?

— Nie wielki! Co się dzieje z Miecznikową?

— Zdrowi wszyscy, z łaski Bożej.

— Co to za gwar? spytał nastawiając ucha.

Książd namyślał się co miał odpowiedzieć, gdy wszedł Nikita, któremu pilno było zobaczyć pani-
cza. Z radością przypadł do łóżka.

— Co to za gwar? powtórzył Janasz.

— A no, ludzie z miasteczka, co ich tu pełne podwórza — odparł Nikita nierozumiejąc, aby co taić było potrzeba. Wszystkie się to ściągnęło ze strachu.

Janasz spojrział. — A o cóż obawa?

— A Tatary! zawołał Nikita, toć wszyscy mówią na pewniaka, że ich tu Dorszak naprowadzi...

Dopieroż wszystko Janaszowi powoli wytłumaczył musiano, a Nikita mu wyśpiewał nawet historię Agafii. Janasz słuchał z uwagą.

— Cóżżeście zrobili dla obrony zamku?

Dworak z chlubah opowiadał jak się doskonale urządził.

— Chwała Bogu — rzekł Korczak, nie czuję się dziś źle, muszę wstać, aby się też na coś przydać.

Książd chciał go wstrzymać.

— Ani myśl, dobrodzieju — odparł. Żadna siła ludzka mnie w łóżku nie uwięzi, kiedy jest niebezpieczeństwo. Gorączka przeszła, rany nie znaczą nic, a robić jest co!

— Zaczekał tylko chwilę — proszę cię — rzekł książd póki ja nie wrócę.

Nikita zabawiał go rozmową, gdy książd Żudra się wymknął i poszedł o wszystkim uwiadomić Miecznikową, która się zaraz sama iść wybrała. Jadzia radziła zostać, lecz dziewczę spojrzało tak smutnie i błagając na matkę, że jej wreszcie iść z sobą pozwoliła.

Wśród rozmowy z Nikitą, weszły obie; Janasz poruszył się i zarumienił.

— A pani! zawołał — przebaczenie, jam już dawno na nogach być powinien, wstyd mi, że leżę.

— Zakazuję waćpanu się ruszać — pod posłuszeństwem — odezwała się Miecznikowa. Niema żadnej ani potrzeby, ani obawy. Ludzie sobie uroili, że nas i tu mogą napaść Tatarowie, że ich ma Dorszak naprowadzić, ale to czyste sny są i strachy.

Jeszcze mówiła Miecznikowa, gdy ogromny krzyk dał się słyszeć od dolnego zamku. Zadrżeli wszyscy, Nikita się rzucił zaraz...

Cisza trwała chwilę, potem gwar. Wszyscy pobiegli do okien, ale zjadł nie widać nie było.

Już miał się książd Żudra wybrać na zwiady, gdy Nikita zdyszany powrócił.

Miał kawał złotego papieru w ręku i minę trochę skłopotaną.

— Kto ich wie co to jest, odezwał się, papier podając. — Jakiś człek od gór cwałem wisząc przyleciał do mostu, na moście papier rzucił i wnet nazad w las uciekł. Niepodobna było za nim pusczyć się konno.

Miecznikowa, Jadzia, przychodzący właśnie ks. Żudra zbrali się nad tym tajemniczym papierem, usiłując go przeczytać.

Nie było to rzeczą łatwą, bo pismo nie czytelne, pomylone, blade, niewiedzieć w jakim języku pisane, było do zrozumienia trudnem. Rodzaj pieczęci z liter jakichś spleśnionych wybitych u spodu. Musiał to być znak szejtana.

Tatar groził na zamek napaścią, zniszczeniem, ogniem i mieczem, lub żądał okupu, który był na wagę oszacowany, a oprócz tego wydania całego mienia Dorszaka, jego sług i żony w lochu zamkniętej.

— Ale jakaż pewność, że okupiwszy się, jutro nie będziemy napadnięci? odezwała się Miecznikowa.

Książd milczał. Spojrzeli na Janasza, który drżał cały. Nikita pokornie u drzwi stojąc czekał, nie śmiejąc się odezwać.

— Proszę jasnie pani, rzekł w końcu, niemogąc się utrzymać, ja jestem głupi chłop — ale ja tak sobie myślę — że gdyby oni mieli siłę i moc nad nami, po coby się prosić potrzebowali i tak nad nami litować?

— Masz słusność! dodał Janasz — z rozbójnikami w targi wchodzić nie godzi się. Pani Miecznikowa dobrodziejko, pozwólcie mi wstać, idę obejrzeć obronę, nie może to być, ażebyśmy się ich tu mogli lekkać. Pułkownik Dulęba obiecał posiłki.

— Żonę i mienie Dorszaka wydać mu, odezwał się książd, ale więcej nie. Miecznikowa nad papierem zadumała się. Skinęła na Nikitę, szepnąwszy mu, ażeby szedł po Dorszakową, a sama z córką zeszła do swego mieszkania. Jadzia ościagała się trochę z wyjściem, popatrzała na Janaszka, który się de niej uśmiechnął, skinęła mu ręką, ale matka już ją z sobą ciągnęła.

Janaszowi sił niecierpliwość dodała — zaczął się zaraz z łóżka dźwigać i odziewać.

Pani Zboińska jeszcze stała nad tą kartą, z którą nie wiedziała co począć, gdy weszła Agafia.

Widok jej mógł przestraszyć, tak wybladła była, zbrukana i jakby nieprzytomna. Od wyjścia ze swego więzienia nie poprawiła nic na sobie — zapomniała o wszystkim. Włos rozpuszczony splotła na ramiona, oczy pałały jakimś ogniem rozpaczny i przerażenia, podarta suknią szmatami wlokła się po ziemi.

Weszła, stanęła, ale z powagą odbijającą dziwnie od tego wynędznienia i opuszczenia, nie ulekniona ani upokorzona widokiem Miecznikowej, która ciekawie na nią skierowała wejrzenie.

— Co ludzie mówią? co ten człowiek mi powiedział? odezwała się nagle nie skłoniwszy nawet głowy — mnie mają wydać? czy ja jestem czyjem bydleciem?

— Mąż się o was upomina! odpowiedziała Miecznikowa, tak sądę. Złego mieliście męża, to prawda, lecz jesteście jego żoną.

— Ja? jego żoną? tego co mnie wciął w lochu? tego zbrojcy i złoczyńcy — zaczęła gwałtownie, podnosząc ręce Agafia, ja go znać niechcę! ja go przeklinam.

— Pani — zaczęła rzucając się wśród izby na kolana i załamując dłonie — ulituj się nad nieszczęśliwą. Broń mnie, weź mnie z sobą — ja ci służyc będę, ja się wykupię, ja...

Tu łkanie jej przerwało.

— Ale mnie nie dawaj na pastwę zbrojcy, on mnie zabije.

— Uspokój się — rzekła, zbliżając się do niej Miecznikowa, gwałtem niktby cię nie wydał.

Agafia wstała powoli, przyszła do ręki stojącej Miecznikowej, chwyciła ją gwałtem prawie i gorąco całować zaczęła.

— Wy nie znacie tego człowieka! wy nie wiecie co ja z nim wycierpiałam. Któż to wypowie?!

I lzy się jej rzuciły z oczów.

Kobiety popłakały się wszystkie, zbliżyły do niej i pocieszać zaczęły.

Książd Żudra stał zadumany.

— Cóż zrobić z tym papierem? — rzekł cicho.

— Wyrzucić go precz, zawołała Agafia.

— Idź i bądź spokojną — odezwała się Miecznikowa, a jeśli czujesz się tu bezpieczniejszą, przychodź do nas, nie zostawimy cię samą.

Gdy się ta scena odbywała w izbie Miecznikowej, Janasz już był wstał i choć się czuł słabym zszedł na dół. Zbladła miała twarz, rozognione oczy, ale siły wyrabiała w nim wola. Nim otworzył drzwi, powiedział sobie, iż nie da poznać, że cierpi, że zdrowym być musi. Wszedł z uśmiechem na ustach. Nie mogło powstrzymać Jadzi, aby nie pośpieszyła przeciwko niemu. Patrzyła mu w oczy, usiłując w nich wyczuć boleść, ale jej tam nie znalazła. Widok dziewczęcia resztę jej rozpedził.

Agafia odeszła — zaczęto na nowo rozczytywać się w papierze. Dwanaście godzin dawał w nich Tatarzyn do złożenia okupu, a snąc gdzieś w pobliskich górach, czaty mieć musieli, gdyż nakazywali białą na baszcie wywiesić chorągiew, albo — jeśliby żadnej nie było do wieczora, grozili napadem.

— Na tatarską wiarę się zdać niepodobna, rzekł Janasz — na zamku bronić się można, choć z garścią małą. Tatarowie dział nie mają, mury wysokie są i mocne, a staw, a broń przecie, której dosyć na nas jest, a ciżba ludu, w obronie własnej także czynną być musi!

Dziej się wola Boża!

Słowa te powtórzyła Miecznikowa.

— Dziej się wola Boża!

Nikita podsłuchiwał podedrzwiemi, obawiał się, ażeby dla spokoju okupu nie dano. Odszedł prawie uradowany i świszcząc siadł pod murem, z chlebem i ogórkami w ręku.

W drugim dziedzińcu obcych nie było, bo tu ich nie wpuszczano. Większa część ludzi obiadowała i gwarzyła w dolnej izbie, reszta na basztach i przy murach czatowała. Zdziwił się podniósłszy oczy Nikita, gdy w tem samym miejscu co wezora zobaczył znowu Horpynkę, stojącą z fartuchem w zębach. Wyglądała tak jakby i teraz chciała coś powiedzieć.

Nikita, któremu wynędzniałego dziewczęcia żal było, podniósł chleb swój do góry, pokazał go jej i zapytał: czy chce jeść?

Potrząsała głową.

— Cóż ty tak tu stoisz pod murem? — zapytał.

— Ja coś mam powiedzieć — szepnęła — ale się bardzo boję.

Nikita skinął, aby podeszła; zawahała się, obejrziała lekliwie i kołując powoli przybliżyła ku niemu i sparła o mur, bose wyciągając nogi, pokaleczony, poobwiązywane liśmi i szmatkami.

Fartuch jej pomagał, bo go gryzła ciągle, nim się na słowo zebrała. Pochyliła się ku Nikicie.

— Ona już powróciła! — szepnęła szybko i podniosła się, jakby nie mówiła nic.

— Któż ona?

Znowu chwila upłynęła.

— Ona, Tatiana.

— A! zawołał Nikita, to cóż?

— Ona już tu nie darmo.

— A gdzie jest?

Dziewczę ramionami ruszyło.

— Albo to kto może wiedzieć?

— Przecież powiadasz, że wrociła?

— Bom widziała jak się wkradała, a potem; o ho! ona tu zna kryjówki wszystkie, mysze dziury — ona tu pani, jej tu nikt nie znajdzie.

Schyliła się ku Nikicie.

— Siedziałam pod szopą, gdy weszła przeleżała. Sliznęła się gdyby wąż, zobaczyła mnie, podbiegła. — A ty tu? zmij! Ona mnie nazywa zmięją! Ona sama gorza od zmi. I w ucho mi krzyknęła: — Jak słowo powiesz komu, żeś mnie widziała — zaduszę.

Zamilkła chwilę...

— Albo to ona zadusić nie może? Może, ale ja nie mogę mileżeć. Tyle dusz chrześcijańskich — ona wszystkich zgubić gotowa. Ona może, ona może.

Dokończyła poruszeniem głowy i rękami.

Nikita słuchał zdziwiony i niespokojny razem.

— Mówże gdzie jej szukać? jak ci się zdaje?

Horpynka mocno podniosła ramiona, a wyciągnęła ręce, mnąc w nich fartuszek.

— Albo ja wiem, zaczęła — tu lochy a lochy i pod lochami lochy, kto — wszędzie, w murach nawet jakieś chodniki. Het — to co znajdzie! Tu strach mieszkka i duchy złe i ludzie źli mogą się skryć. Pod-

starości tu wie jeden, a Tatiana druga, bo ona dawno u niego, ona tu i pania była.

Zamilkła nagle. Spojrzała na zamysłonego Nikitę i poczęła się odsuwać popod murem. Zabierała się do ucieczki. Powoli skradała się do wrót, obejrzała w około i umknęła.

Nikita nie wziął tego tak bardzo do serca, co mu oznajmiła Horpyna. — Zdawało mu się, że jedna kobieta niezmieścić im nie może i że to nawet wspomnienia nie było warte. Wstał więc, aby czaty obejrzeć i gwar nieznośny na pierwszym dziedzińcu uspokoić, potem wyrzucił na most, gdyż tam najpilniej trzeba było strzedz się, aby w porę podpalić. Wieczorem spodziewano się posiłków od Dulęby. Czas poobiedni zszedł prędko i mrok padać zaczął, a obiecanych żołnierzy nie było. Zdawało się nawet, iż przybyć już nie mogą. Obawiając się, aby na moście nie zaniedbali się ludzie, gdyż tu ciągle związało się dosyć gminu z miasteczka i w rozmowę ich wciągnęli, Nikita sam noc tu przebyć postanowił.

Noc była najniebezpieczniejszą. Janasz wyszedł także obejrzeć strażę i obwołać porządek między schronionymi, grożąc tym, coby go zachować nie chcieli, że ich będzie musiał z zamku wydać.

Uciszyło się więc prędko i wszystko zdawało się iść po myśli, tylko Dulęba obietnicy nie dotrzymał. Co się z nim stało? czy się opóźnił, czy go w drodze napadnięto, łatwo mogąc uczynić zasadzkę? — domyśleć się nie umiano. W lasach dokoła było spokojnie. W dolinie nie przemknęło się nic do wieczora. Noc nadeszła rychło, bo mgły i chmury zawisły nad całą okolicą i deszcz drobny puścił się, jakby na długó....

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Szczęście kobiece, powieść Jana Zacharyasiewicza. — Lwów, 1874 roku.

Nie wiem czy p. Zacharyasiewicz umyślił sobie z góry napisać jakiś komentarz do dawniejszych swych powieści, jak: „Dzieje ideału“, „Widoki familijne“ i „Opinia parafialna“, któreśmy tu w swoim czasie rozbięli, ale to pewna, że *Szczęście kobiece* przypominało nam ustawicznie trzy te powyższe utwory. Nie wyrażamy tego bynajmniej w sposóbie ujemny dla twórczości autora, jakoby przez to miał być plagiatorem względnie do samego siebie; lecz upatrujemy w obecnym utworze niby dalszy ciąg raz już dotkniętej myśli, nowe jej przedstawienie w formie weale niespodziewanej. Bo dlaczegożby wreszcie nie miało być wolno powieściopisarzowi wracać do swej myśli i w nowy ją przypominać sposób, jeśli rozbiór jej uważa za pożyteczny dla społeczeństwa?

Dosyć, że „*Szczęście kobiece*“ przedstawia nam nową ofiarę *widoków familijnych*, które na drodze do uzasadnienia szczęścia rodzinnego i społecznego, autor uważa snąć za jedną z najstrasliwszych i najnielogiczniejszych przeszkód, skoro tylokrotnie do niej powraca i za usunięciem jej w obrazach tak potępiających przemawia.

I na ten raz, równie jak w „*Opinii parafialnej*“, ofiara widoków samowiednie i samowolnie spełnia to, co zwie swym obowiązkiem lub posłannictwem, z całą konsekwentnością zasady, dopóki ta ścisła konsekwentność, ale wychodząca z fałszywego założenia, nie doprowadzi rozumującej, w ostatnim wyniku, do rozpaczliwego absurdum.

Adelajda jest córą wysoce arystokratycznego rodu, ale skutkiem wystawnego życia rodziców za granicą zubożała aż do nędzy. Ostatnim przytułkiem jej i starego ojca, manijaka, jest zamek w górach Karpackich, którego całe feudum ogranicza się dziś do dochodu z propinacji i częstkowej sprzedaży lasu; lecz dochód ten coraz bardziej szupleje, skutkiem utrzymywania decorum i manii ojcowskiej, do nabywania starych obrazów dla odkrycia Rafaela lub Rubensa, mającego poprawić stan finansowy rodu.

Zręcznie, jako doświadczony artysta, w kilku śmiałych zarysach, naskicował autor charakter

Adelaidy, złożony z zacności i nieugiętej dumy rodzinowej. Sposobność do tej istotnej spowiedzi upadłej (materiałnej) kobiety, nastęrcza przybycie młodego kuzyna Edmunda.

Jest to człowiek, lubo pochodzeniem i ubóstwem równy Adelaidzie, ale wychowaniem całkiem zbliżony do niwelujących pojęć dzisiejszego wieku. Wobec niego dziewczica, okryta ostatnią dawną świętości zbroją orleańskich pereł i brylantowych pierścionków, broni tego rozpaczliwego posterunku, jak stara gwardya napoleońska chwały swej pod Waterloo: — raczej umrzeć, niż kapitulować.

— Największem nieszczęściem w naszym stanie jest ubóstwo! — powiada. — Czemże jest ubóstwo żebraka w porównaniu z naszym ubóstwem? Do czego on, a do czego my jesteśmy stworzeni?... On potrzebuje tylko zaspokoić głód swój i pragnienie, a jakiej skali jest nasz głód i nasze pragnienie... Dziedzicznym naszym obowiązkiem jest ukoronować gmach społeczeństwa i być jego sklepieniem; a czyż na sklepienie nie dobiera się najlepszego materiału, czyż my nie jesteśmy tym materiałem? Biada społeczeństwu, jeśli nas straci do poziomu, a jeszcze więcej biada nam, jeśli sami z nagleżnika wyniosłych pilastrów upadamy na ziemię.

A cóż to w pięknych oczach Adelaidy jest upadkiem z tej wyżyny społecznej? Wytłumaczy nam to odpowiedź dana Edmudowi na zarzut, że ona przez czas swego sześćdziesięciu lat pobytku na wsi mogła przecież widywać ludzi.

— Jakich ludzi? — wyrzekła, dumnie wstrząsając głową. — Czy tych, co tam w tych maluczkich dworach mieszkają i owies sięją?... Wiem com winna sobie, com winna memu urodzeniu. Wiem jak się światu okazywać winnam i spodziewam się, żebym rolę moją godnie odegrać umiała, ale do odegrania tej roli brak nam środków: jesteśmy zabudzy.

Godna przedstawicielka przesądów rodowych tworzy więc sobie położenie bez wyjścia, albo z wyjściem, w którym całe szczęście, w powszechnie ludzkim znaczeniu tego słowa, zostawić można. Nie zbliży się do ludzi niższych pochodzeniem, bo to ubliżyłoby jej godności; nie zbliży się do ludzi pochodzeniem równych, bo im sprostać materialnie nie może; nie zbliży się do człowieka równego sobie rodem i ubóstwem, bo to bynajmniej stanowiska społecznego nie poprawi. Pozostaje więc jej: albo dostojność swą zamknąć w klasztorze, co jest rzeczą zawsze możliwą; albo wyjść za mąż choćby za niemilego łogacza arystokratycznego, co jest jeszcze rzeczą przypadkową; stanie się przez to poniekaż zadość dumie arystokracji, ale gdzież będzie „*szczęście kobiece*?“

Ma je Adelajda pod ręką, w osobie Edmunda, który przypadkowo stał się jej sąsiadem na lichym kawałku ziemi. Ale karpaka Juno odpycha to szczęście, tylko kobiece, jako półśrodek nie starczyący tej missyi, którą w siebie wzmówiła.

Kto inny, obojętny, naprzykład ogół, na widok tego zatwardziałego uporu, trawiącego się własną niemocą, na widok istoty w gruncie uczciwej, a dobrowolnie ginącej, powiedziałaby sobie: A niech cię tam licho porwie!... Powieściopisarz nie jest tak niedelikatnym względem kreaacyi własnej, którą wreszcie obdarzył tyłą fizycznych i moralnych zalet, takie umiał ku niej obudzić zajęcie, że aż żal się robi na myśl, gdyby istota, mogąca dać tyle szczęścia i rozkoszy i sama się uszczęśliwić, miała marnie zginąć na wyłomie przesądu, stającego rozpaczliwie przeciw niecofnionemu prądowi wieku. I my też stajemy po stronie powieściopisarza, nie lekceważąc bynajmniej usposobień i położeń wywołanych wychowaniem i tradycyjną uprawą charakterów. Są to wreszcie, jak ich mianuje Kraszewski, *Moriturus*. Nie należy ich potraćać, ale ratować i leczyć; a jeśli się nie uda, osładzać przynajmniej chwilę konania.

Mają oni jeszcze w swem ręku środki do podtrzymania życia, głównie polegające na zmianie klimatu moralnego, który dotąd był dla nich srodze zabójczym. Zalecamy im ten nowy klimat, utworzony przez ducha pracy i osobistych uzdolnień, może posłuchają, sprobują, próby nawet gdzieś gdzie dosyć się udają; uratujemy przez to część członków społeczeństwa, wyświadczymy braterską przysługę. Zrobmy co w naszej mocy, by ich nie zostawili samych, w odosobnieniu; zajmujemy się nie-

mi bez zrażenia, póki sił starczy, a jeśli nas sam odepchną, to niechże sobie przypadają z Bogiem, czy bez Boga.

P. Zacharyasiewicz ze swego stanowiska, jest jednym z tych otwierających oczy, ogłędnie, z całą delikatnością uprzejmego mentora. Trudno nam wiedzieć, o ile oplacają mu się jego reformatorskie przysługi, o ile błędzący korzystają z jego wskazówek, nam się zdaje, że ci właśnie, do których wymierzone są jego obrazowe rekolekcyjne, mało go czytują, bo im dziś trudno może jeszcze przypuścić, ażeby głos pochodzący z kraju, miał jaką słusność i powagę bez właściwego *approbatur*; lecz sumieniem naszym literackim zareczamy, iż p. Zacharyasiewicz rzecz swą prowadzi bezstronnie i beznamytnie, z doskonałą znajomością zasady i faktów, z poczuciem obywatelskim, częstokroć udrotnie.

Ciekawi też jesteśmy, dokąd on doprowadzi swą nową bohaterkę o kształtach i wdzięku olimpijskiej bogini.

Daremnie ubogi Edmund uczył w swem mężkiem sercu, że byłby szczęśliwym z Adelaidą; ona próbować nawet nie chce, czy byłaby szczęśliwą z Edmudem. Mylimy się: próbuje, boć to i nie byłaby rzeczą ludzka, iżby chociaż chwilami kobieta nie wzięła góry nad arystokratką, a zwycięstwo to tem łatwiejsze, gdy dwoje młodych ludzi znajdują się w samotności, bez żadnej prawie kontroli. Mylimy się znowu, — kontrolą silną i niedostępną Adelaidy, jest jej posłannictwo, czy obowiązek, czy jak tam ona sama zeche przemianowywać spruchniałe swego przesądu deski, które uważa za podstawę życia. Próbuje więc chwilami Adelajda, jakby też to wyglądało owo pospolite szczęście kobiece, której nie dano z góry urodzić się puchaczem. I musiało ono wyglądać bardzo niebezpiecznie, bo Adelajda pognięła się na siebie i zakazała sobie ośmielać Edmunda do większego zbliżenia, nad zwykłą poufałość krewienną.

Na tych jej postępowych i wstecznych krokach najwięcej traci Edmund, gdyż draśnięty w uczuciu, które coraz większego nabierało życia, zmuszony jest szukać ulgi w środku homeopatycznym. Środek ten nastęrczył mu się w samym nawet domu Adelaidy.

Nieboszczka matka jej, protektorskim zwyczajem, zachowywanym niegdyś w domach magnackich, przyjęła ubogą rówieńczkę Adelaidy, córkę miejscowego ekonomy, którą wychowała razem z córką własną, dając jej równy udział nie tylko w dobrach duchowych i materialnych, ale nawet w macierzyńskim uczuciu. Obyczaj ten jakkolwiek w następstwach mógł nie zawsze okazywać się pożytecznym wychowankom wyrwanym z właściwej sfery i zakrawał nieco na kaprys pański, lecz ze szlachetnych pochodził pobudek i szlachetnego doznawał rozwiązania, objawiającego się i wyposażeniem przyzwyczajenia i życzliwością doznogą, przeto raczej za cnotę i chwałę praojców naszych, niż za fantazyę przez nas, co mniej już skłonni jesteśmy do podobnych fantazyi, poczytanym być winien.

Uczciwy postęp nieboszczki ten przynajmniej miał skutek, że dwie dziewice nierówne pochodzeniem, zrównane wychowaniem siostrzanem, w siostrzanym też stosunku przetrwały aż do dziś dnia, tak, że Adelajda, rozumem widząca jasno odstęp oddzielający ją od Olgi, sercem zacierając go zupełnie. Przyznać trzeba autorowi, że ta część jego powieści, w której zarysowuje się znięca, jakoby sam z siebie, stosunek ten, część ta — powiadamy — przejmie jakąś radością i chlubą serce dzisiejszego czytelnika i nie małą zdobywa sympatyę dla jego arystokratycznej bohaterki. Jakaż to szkoda, jaki żal, że los musi między te dwie wyborowe istoty rzucić kłóć niezgody.... w osobie Edmunda! Ale trudna rada: są uczucia gorętsze, natarczywsze, niż przywiązanie braterskie lub siostrzane; w tem ich różnica właśnie, w tem rekojmia wyłączności zapewnianej rodowi ludzkiemu rodzinie, przyszłość.

Ale w kim właściwie wina tego zerwania siostrzanej harmonii? Czyżby Olga zapomniała ile pośrednio winną jest Adelaidzie?... Nie. Olga, to istota, która nigdy nie zapomni ile winna sobie i drugim. To także dziewczica złożona ze cnoty i wdzięku. Jeżeli Adelajda jest Junoną w tym niewieścim Olimpie, Oldze odpowiadałaby Hebe. Wysokie jej ukształcenie nie nadwężyło w jej duszy równowagi moralnej, zachwiało tylko równowagę

towarzyską. Z pałacu przechodzi ona swobodnie do chaty ojca i z miłością do jego łona się tuli, ale jakimież okiem spojrzeć musi na to, gdy ojciec staje z uniżonością sługi tam, gdzie ona przyjmowaną jest na stopie równości z państwem. Najwięcej boleje nad tem jednak stary ekonom Burski, czując, że mu jakoby wydarto córkę i nie widzi sposobu jej odzyskania. Czy Olga wyjdzie za męża, czy przejdzie gdziekolwiek na nauczycielkę, Burski nie znajduje możliwości połączenia się z nią bez ubliżenia sobie, bez zajęcia stanowiska nie odpowiedniego ojcu, bez pozostania nadal na łasce dziecka.

A właśnie zbliża się chwila, mogąca rozstrzygnąć to ważne dla ojca pytanie, gdyż Edmundowi coraz lepiej robi się na sercu przy Oldze, po porażce doznanej od Adelaidy. Olga, częścią z natury, częścią z ukształcenia, wyniosła usposobienie wysoko idealistyczne, wierzące, bez powątpiewania, bez złych przeczuć; przyjmowała wszystko tak, jak się jej przedstawiało. Zbudzona przez Edmunda w swych idealistycznych marzeniach, przekonywana przez Adelaidę o jej obojętności dla Edmunda, a raczej o stanowczej przeszłości, jaką pomiędzy niemi stawia ubóstwo, Olga mogła i miała wszelkie prawo dobijać się o to „szczęście kobiece“, polegające wyłącznie na zadowoleniu uczucia duszy kochającej, którem pogardziła Adelaida i przeciw któremu broniała się wobec Edmunda, jako bohaterka idei.

Czujne jej oko dostrzegło, co się koło niej dzieje. Chwila ta, przeprowadzona wprawdzie bez żadnych zewnętrznych agitacji, jest niezmiernie dramatyczną w powieści tej, której też istotnie myśl na wcale niepospolity dramat ukształtowaną byby mogła, gdyby autor posiadał tę sceniczną zdolność, o którą polskim umysłem tak trudno. W Adelaidzie naraz zaczyna się odbywać walka uczucia z przesaדם; cóżkolwiekby, arystokratka nie mogła w niej całkowicie pochłoniąć kobiety, która eichym wprawdzie głosem, ale stanowczym, o prawo się swe dopomina. Dopóki w oczach Edmunda widziała ona wpływ swój, dopóki czuła, że może w każdym razie odwołać się do jego serca, jakoby do swojej własności, dopóty struna jej kobieca drzemała w pewnem względem bezpieczeństwie, ale zaczęła drgać boleśnie na widok możliwości utraty. Z drugiej strony, gdyby Edmund zamierzał się połączyć z osobą równą mu rodem, a posiadającą równy rodowi majątek, bohaterka magnackiego legitymizmu łatwiej nakazywały miłczenie tej natrętnej strunie kobiecej. Ale Edmund nie ma nic na swe usprawiedliwienie; przeciwnie, potępia go to, że zamierza popełnić megalians, grzech śmiertelny przeciw duchowi idei rodowej. Zapomniała o tem Adelaida, że kobieta nie ma do rozdania herbów, że jej najpyszniejszą tarczą herbowa jest ta, na której Bóg wyrzył wyższość umysłu, dowcip, ukształcenie i wdzięk niewieści, i że dla takiej kobiety nawet tron wcale nie za drogi.

Adelaida przeciwnie, w powolności Olgi uważa niewłaściwość, która stanie się z czasem największym dla niej nieszczęściem, kiedy umysł jej dojrzejze i przekona ją, że zagroziła miłością swą los Edmundowi, wyrwawszy go z właściwej mu sfery i stosunków. Trzeba więc zaprowadzić porządek między temi dwoma szaleńcami, zadać im ból chwilowy dla ich uratowania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Tricoche i Cacolet — komedia w 5 aktach, pp. Meilhac i Halévy.

Czasami daleko trudniej niżeli komu zdawaćby się mogło, przychodzi napisać sprawozdanie z jakiegoś utworu scenicznego, niewiadomo bowiem z czym się ma do czynienia, czy z rybą, czy z rakiem, czy z czymś o czym mówić warto, godzi się i powinno, czy z czymś, nad czym z góry przechodzi się do porządku dziennego.

Owa Cycerońska *praeclara vitae emendatrix comedia*, przybrała dzisiaj, z biegiem coraz nowych wynalazków balonowych, telegraficznych i im podobnych, takie pozory, kształty i objawy, że widząc

ją zajmującą stanowisko na scenie, chciałoby się wierzyć w jej potrzebę, chwilową konieczność, a zarazem chwilową jakąkolwiek wartość.

A tymczasem, potem, chcąc sformułować zdanie bezstronne, dalekie od uprzedzeń, od natychmiastowego wrażenia i od pogawędki zrzędczących bliźnich, jest się w prawdziwym kłopotcie...

Jeżeli bowiem chodzi o zręczność sceniczną, to ją pp. Meilhac i Halévy, powiadają o wysokim stopniu, i wyroby z ich fabryki odznaczają się rzeczywiście niepospolitą zgrabnością; — jeżeli chodzi o dowcip, mają go także, czasami nawet prawdziwy i wyższy, lubo częściej ów tak zwany: *l'esprit de gamin*.

Sceniczną i dowcip są to jak wiemy dwa główne, jeżeli nie najgłówniejsze przymioty komedii pisanarza, — bez nich utwor komiczny najlepiej pomysłany, z najdoskonalszym zadaniem, nie przemówi do widza, ale go od razu zmęczy i znudzi.

Ale czyż to już wszystko? — czy nie już więcej nie trzeba?

Czy komedią nazywa się wierna fotografia najpospolitszych wydarzeń, najcodzienniejszych ruchów, najbrzydszych fizynomii, owa fotografia odbijająca najskrupulatniej brodawki na twarzy, plamy na sukni, ślepa, bez artystycznego światłocienia, fotografia tak dalece grubo-realistyczna, że staje się narzeczcie prostem przedrzeźnianiem, ulicznikostwem, karykaturą olbrzymią i przesadną?

Co pomoże zręczna i wytrawna scenerya, pojedyncze dowcipy, gdy rzecz sama blaha, pospolita, gdy nie dopatrzysz przez lupę ani jednej wyższej myśli, ani jednego z tych celów, które dały początek istnieniu komedii?

Jestto raczej arlekinada, scena uliczna, dorazna i luźna, taka, jaką znali pierwotnie Włosi, a jak ją potem przeszczepili do Francji Arlequin i Scaramouche, tylko że ułożona umiejętnie w akty i dialogi i zastosowana do dzisiejszych przyzwyczajają sceniczych.

Zatem o wartości „Tricoche i Cacolet“ jako komedyi niższej, nie mówmy już więcej.

Szkoda czasu i atłasu.

Prawda, że są tacy pobłażliwi, którzy powiadają: — Ba! co mi tam po dramatach, — co po wyższych komedjach — komedjach przeprowadzających jakieś zadanie społeczne lub przynajmniej podających wierny obraz obyczajowy — ja chcę się bawić, a raczej śmiać bezustannie, bezustannie, z zapomnieniem o moich zgryzotach, o świecie i życiu!

Otóż ci panowie mają o tyle racyę, o ile zdarzyć się może, że: 1) w komedjach społecznych czy obyczajowych, niema nie humoru, dowcipu czyli warunków komicznych; 2) o ile w „Tricoche i Cacolet“, można się śmiać *bezustannie* i z zapomnieniem o czemśkolwiek.

Nam przeciwnie tak się wydaje, że śmiać się tak bardzo niepodobna patrząc na awanturnicze przygody pp. Tricoche i Cacolet, że przeciwnie co najśmieszniejszego, a raczej co najlepszego, to zawarte w pierwszym i drugim akcie, bo dalsze trzy akta są już takim naciąganiem niedowcipnych nieprawdopodobieństw, takim niefortunnem sileniem się na utrzymanie forsowne zajęcia widza, że wywołują tylko zmęczenie i ów przesytny, dający się wyrazić tem pospolitem omówieniem: „Za dużo naraz tego dobrego“.

Za dużo, za dużo szanowni autorowie i łaskawa reżysero!

Wprawdzie życzymy wszystkim autorom oryginalnym, połowę tego poparcia, tych dobrych chęci i tej energii w szybkim wystawieniu ich sztuk, ile ich tu zużyto dla pp. Meilhac i Halévy, ale z góry jesteśmy przekonani, że nie zdobędą sobie nigdy aplauzu i łask tych niektórych panów, którzy kochają się w *dwuznacznikach paryzkich*, wręcz zaprzeczając oryginalnym naszym autorom „talentu“ w napisaniu czegoś podobnego.

A jednak wierzyć mi, szanowni panowie, że o tego rodzaju dowcip najłatwiej, o wprowadzenie na scenę sytuacji drastycznych również łatwo, ale *quod licet Iovi non licet bovi*, co znaczy, przetłómaczone na język polski, co wolno autorom francuzkim piszącym dla Paryża, mającego najróżnorodniejszą dwumilionową ludność, trzydzieści teatrów i całkiem inne warunki, tego nie wolno autorom naszym, mającym jeden tylko teatr, ludność mniej więcej jednako ukształtowaną i niewielką, i pewien obowiązek pomówienia o czemś ważniejszym ze sceny

Raczie, szanowni panowie, raz to dobrze zrozumieć, a będziecie względniejsi dla tych biednych autorów sztuk oryginalnych, którzy począwszy od dyrekcyi a skończywszy na szewczyku, zawieszonym o poręcz na paradyzie, mają we wszystkich, jawnych lub skrytych przeciwników, a przynajmniej jawnie lub skrycie, niemiłosiernie uprzedzonych.

Z drugiej strony, nie mogę się powstrzymać od zanotowania dziwnego fenomenu.

Oto w sztukach tego rodzaju co Tricoche, a nawet w pokaźniejszych od niego, ale stempla paryzkiego, ci i owi natrafiając co słowo na dwuznacznik, albo na całą scenę, mówiąca po prostu i bez ceremonii o tem, o czem się zazwyczaj nie mówi wcale w do- brych towarzystwach, doskonale się bawią, talent autorów sławią i robią kompromisy ze swoim sumieniem, celem zatarcia wrażeń, które czasami zbyt niedelikatnie uraziło ogólne uczucie; ale niech sobie pozwoli autor w sztuce oryginalnej najmniejszej licencji, niech ulegając zepsutemu smakowi, faworyzowanemu przez nieświadomy często ogół, wtrąci jakieś słówko dwuznaczne, albo — co uwzględnić należy — niech dla odmalowania wiernego sytuacji jakiejs, zmuszony będzie koniecznie posłużyć się jaskrawszą farbą, — wnet wszyscy wielkim głosem krzykną: *larum!* wnet najpobłażliwszi dla Dumassów synów, Meilhaców i tym podobnych, zawołają w niebogłosy na zgorzenie, upadek etc.

I czy sądzicie, że taka niesprawiedliwość da się wytłómaczyć blagą wymówką, jakoby nie godziło się naśladować w tej mierze obcych?

Nie inaczej, ale słowo wyrzeczone raz ze sceny, ktokolwiekbydy je napisał, czy francuz czy polak, zgorzenia powodem stać się może; kula, którą wyrzuca ze strzelby, dziecko czy starzec, murzyn czy europejczyk, zabija tak samo, — zatem albo bądźcie surowi dla tych i tamtych zarówno, albo bądźcie pobłażliwszi dla drugich, gdy dla jednych jesteście względni bez miary!

W „Tricoche i Cacolet“ są sceny, są wyrażenia nie do przebaczenia, niemożliwe dla naszego uczucia i sposobu życia, — które niech sobie mówią co chcą pessymiści — nie jest jeszcze najgorzem.

To ciągle zaklinanie się pani Van der Puf na „cienie jej matki“, w chwili gdy się pozwala wykraść kochankowi z domu męża, to obrzydłe szydzenie z tego, co każdy przywykł czcić i szanować, przypomina zbyt żywo nikczemne zepsucie Francuzów, którzy wysławszy tyle świętości, wysłiali niemniej święte, węzły rodzinne; uraża zbyt szorstko nasz dotychczasowy obyczaj, iżbyśmy się jeszcze tak podejrzaną wartością dowcipem, zachwycać mogli. A znowu scena między zakochanym niby księciem Emilem i niby zakochaną panią Van der Puf, w domu panny Bombance; scena w której targ o miłość, odbywa się tak jawnie i takimi słowy, jak targ za Żelazną Bramą o pietruszkę, należy do tych, które wzbudzając słuszne oburzenie w najmniej wybrednych, w najmniej moralizujących, wymagały bezwarunkowego *skrócenia* czy *przemiany* przez reżyserę, jeżeli już koniecznie mieliśmy być obdarzeni Tricochem i Cacoletem.

Najkomiczniejszym wydał się nam sam pomysł spółki dwóch kłótrów, oszustów i wydrwigroszów, Tricocha i Cacoleta, którzy na wzór dzisiejszych assocjacyi przemysłowych, bardzo często fikcyjnych a tylko reklamowanych potężnie, założyli dom trudniący się najobrzydliwszemi interesami, a właściwie stojący na znanej z ostatnich lat w Paryżu spekulacji, zwanej: „*chantage*.“ Więc chwytają listy miłosne żon, mężów lub kochanków, szpiegują ich (podobno istotnie egzystuje w Paryżu, towarzysztwo trudniące się tem), podzęgają jednych przeciw drugim, ciągnąc z tego obfite zyski; — prócz tego stręczą małżeństwa, umieszczają służących po domach, słowem podejmują się wszystkiego, z czego się tylko łatwa korzyść da wyciągnąć.

Obaj jednak niedowierząc sobie, pracują każdy na własną rękę, a zatem oszukują się nawzajem. Coś podobnego dzieje się podobno i w wielkich domach firmowych zagranicznych.

Kiedy przeto Cacolet pomaga pani Van der Puf do ucieczki z księciem Emilem, Tricoche pomaga mężowi do jej odszukania. Obaj niewiedząc o sobie, wysilają się na tysiące pomysłów nieprawdopodobnych, goniąc się nawzajem.

Tricoche chcący schwytać panią Van der Puf i jej kochanka, zastaje wszędzie przeszkodę w osobie Ca-

NA WSCHODZIE, USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbata.

(Dalszy ciąg).

coleta, a ztąd najrozmaitsze awantury w domu panny Bombance, w kawiarni publicznej i Bóg wie gdzie; ztąd przebiegania się kilkakrotnie głównych bohaterów: Tricoche'a i Cacolet'a, którzy naprawdę, gdyby tyle awantur w rzeczywistości przeżyć musieli, zasłużyliby na sowite honorarium. Naturalnie, że za wszystkie te metamorfozy, podróże i przebiegania się, suto płaci książkę Emil, aż do chwili, w której wydawszy ostatniego franka, przekonał się wraz z uroczą i „kobietą zasad“ panią Van der Puf, że koniec końców, lepiej było siedzieć w domu.

Żona więc wraca do domu, Tricoche i Cacolet godzą się ze sobą, postanawiając działać odtąd wspólnie, a pan Van der Puf, bankier najświetszej, chyba już wiedeńskiej a nawet nie paryżkiej mody, przyjmuje gościnnie swą żonę i ciesząc się jeszcze, że podczas jej nieobecności a z pomocą panny Bombance, porobił dobre interesa z Oskar-baszą, na pożyczkę turecką.

Przez pięć długich aktów, zapoznaliśmy się dostatecznie z wybiegami dwóch współników i z częścią paryżkiego zaułkowego życia. Czy publiczność zyskała na tem choćby szczerzej zabawy godzin kilka?—wątpimy, przynajmniej co do ostatnich trzech aktów—czy repertuar teatralny wzbogacił się tym nabytkiem?—wątpimy stanowczo; jedni chyba artyści mieli tu pole popisu, ale i ten popis mniej wart od najmniejszej roli w komedyi Fredry lub Korzeniowskiego.

Zaiste—szczerze żałować nam przychodzi tak znakomitej artystki jak pani Bakalowiczowa, ponieważ w roli pani Van der Puf. Nie cofamy tego wyrażenia, bo jakkolwiek artystka ta odegrała swą rolę jak zwykle, to jest tak, że nie pozostawiła nic do życzenia, przeciż wywołała smutne wrażenie na tych, którzy talent jej ceniąc jak należy, pragnęliby ją zastać zawsze na odpowiednim stanowisku.

Prawda, że nie wiemy, kto zdołałby tę rolę tak świetnie odegrać jak ona, ale zdaje się nam, że nie chodziło tu bynajmniej o unieśmiertnienie takiej sztuki jak: Tricoche i Cacolet!

Panowie Szymanowski (Cacolet) i Damze (Tricoche) prześcigali się wzajemnie w charakterystycznym przedstawianiu rozmaitych figur, które odgrywać im przyszło w tej sztuce; p. Szymanowski zwłaszcza, jako inwalida a głównie jako łobuz w kawiarni, zyskał potężny i zasłużony oklask. Pan Leszczyński (książę Emil) dowiódł tym razem, że talent jego różnorodny, skoro tak doskonale umie być lekkim, hulaszczym i swobodnym dandysem salonowym. Oczywiście ogromny odskok między Otellem a Tricochem, ale tym razem nie świadczy on na niekorzyść pana Leszczyńskiego.

Niemniej pani Leszczyńska w niewielkiej roli Fanny Bombance, okazała swobodę i wdzięk sobie właściwy. Pan Grzywiński (bankier Van der Puf) odegrał starannie swą rolę, lubo nie dosyć umiał ją zapełnić humorem, a koniec końcem, biorąc tę rolę taką jaką jest, ma ona w sobie niemało komicznych znamion, zwłaszcza w akcie pierwszym, w całym dyalogu między mężem a żoną.

Czy „Tricoche i Cacolet“ będzie miał powodzenie, orzekać nie chcemy, — zdaje się nam że tak, — nie dla swej wartości—przeciwnie, dla swych stron ujemnych, dla swej drastyczności, która niestety, wywiera jeszcze zawsze wpływ na większość publiczności.

Jakie zaś na to lekarstwo? — arey proste: nie dawać jej niezdrowych potraw, nie zaprawiać ich ową substancją, która sztucznie i chwilowo podrażnia apetyt, ale ostatecznie, całości organizmu tylko zaszkodzić może.

Edward Lubowski.

W tych to czasach, mianowicie po r. 1830, rozwija się przemysł dobywania złota i Syberya cała przyciągając do siebie znaczne kapitały, a wywdzieczając się Kiachcie za dostarczane towary i inne usługi zaczęła dopomagać jej handlowi. Produkt wydobywany z wilgotnych i bezpłodnych bagnisk północnej Syberyi przyczynił się do zwiększenia fabrycznej działalności w Moskwie i całej Rosyji, zapełnił Kiachtę bławatnymi wyrobami i wreszcie sam się zjawiał w całym swoim blasku i potęgę wszystką zdobywającej siły. Liczba przyjmujących udział w miejscowym handlu znacznie się zwiększyła, do kupców moskiewskich przyłączyli się w znacznej liczbie handlujący z innych miast. Sybiraków okazało się dwa razy więcej kupców aniżeli Rosyan, a do przedmiotów wymiany przyłączyło się i złoto. Zasady handlu w Kiachcie na monopolu oparte nie mogły już się utrzymać a ścieśniając obroty kupieckie były powodem ciągłego naruszania przepisów prawa obowiązującego. Zakazane towary (opium i sybirskie złoto) przewożone były tajemnie przez granicę. Kontrabanda powstała na wielką skalę i znajdując oparcie w miejscowych okolicznościach z każdym rokiem się zwiększała, a szczególnie od tej chwili, gdy traktat w Nankinie zawarty 1842 r. otworzył Europejczykom cztery południowe porty chińskie i przyciągnął do nich olbrzymie angielskie kapitały. Handel zamienny w Kiachcie przestał już obchodzić się bez złota i srebra; kupcy rossyjscy zyskiwali bardzo dużo, bo Chińczycy monetę brzęcząca nadzwyczaj drogo cenili, przyjmując półimperyal za 8—9 rs., a rubel srebrny za 180 kopiejek. Poszukiwanie drogocennych metalów do tego stopnia wzrosło, że kupcy majmacyńscy bardzo często nie chcieli brać innych towarów na zamian, jeżeli im nie ofiarowano także złota i srebra. Z obawy, ażeby towary nie zleżały się, każdy kupiec spieszył wymienić je nawet po najniższych cenach i wynagradzał sobie straty z pomocą przemycanego złota, wytwarzając tym sposobem dziwny i do tej chwili niewytłumaczony objaw, dzięki któremu w najbardziej odległych okolicach Niebieskiego państwa sukna rossyjskie sprzedawane były o 11 lub 10 rs. taniej od cen fabrycznych moskiewskich. Stan ten jednak trwał niedługo, niebezpieczna konkurencja wydawała owoce, mnóstwo kapitałów przepadło, a bogaci kupcy zbankrutowali, pociągając za sobą wielu innych. Koniec przesilenia przypadł na chwilę, gdy ukazem Najwyższym z r. 1854 dozwolono wywózki złota i srebra w wyrobach, w r. 1855 ustanowiono handel „wedle cen wolnych nie ograniczonych żadnymi ogólnymi przepisami“; uprawniając wywóz przez Kiachtę złotej monety z tem tylko zastrzeżeniem, ażeby wywożoną była łącznie z innymi towarami i żeby jej wartość razem z ceną złotych i srebrnych wyrobów stanowiła każdym razem dla handlującego nie więcej nad 1/3 wartości bławatnych i 1/2 futrzanych towarów. Kupcy 2-ej gildyi nabyli prawa prowadzenia handlu zagranicznego przez Kiachtę do summy 90 tysięcy rubli corocznie, licząc w tem wartość wywozu i przywozu. Handel odbywający się dawniej głównie w miesiącach zimowych lutym i marcu, przeistoczył się w trwałą, przez cały rok bez przerwy codziennie prowadzony.

Skutkiem tych postanowień wymiana towarów stała się łatwiejszą, obroty handlowe zwiększyły

się, kapitały szybciej powracały, a bieg interesów był bardziej regularnym, swobodnym. Lecz, co najważniejsza, wymiana różnych gatunków herbaty odbywała się teraz po nieporównanie niższych cenach niż dawniej, chociaż w Moskwie słyszeć się dawały ciężkie narzekania fabrykantów wysyłających swoje towary do Kiachty.

Okolo szóstego dziesiątka lat bieżącego stulecia handel w Kiachcie znajdował się w pomyślnym stanie rozwoju. Nie bacząc na rozmaite trudności przynosił znaczne zyski i korzyści Moskwie, Syberyi i samej Kiachcie. Lecz niespodziewanie wyrodził się w uciążliwy monopol, skoro w tym samym czasie te same gatunki herbaty przywożone z Fuczanu, lecz zakupywane w Szunghai przez Anglików nabywane były po cenach daleko niższych i zapewniały niemałe korzyści nabywcom i konsumentom. Tak zwana herbata kantońska groziła niebezpieczną konkurencją; przejęła strachem wszystkich handlujących w Kiachcie. Wprawdzie ten legendowy upiór stracił swoją siłę, gdy rząd postanowił choć czasowo zabronić przywozu do Rosyji herbaty z zagranicy, ażeby dać czas przejścia handlowi w Kiachcie ze stanu nienormalnego w prawidłowy i udzielić możność fabrykantom zastosowania swoich wyrobów do potrzeb, jakieby mogły wyniknąć ze zmiany zasad handlu miejscowego. A teraz, gdy termin zakreślony minął i przywóz herbaty z zagranicy został dozwolonym, kiedy Rosyja przyuczona (lecz nie nauczona) pić herbatę, nie wyrobiwszy u siebie smaku (z wyjątkiem Moskwy, Kazania i Syberyi), dla istotnie dobrej, z chciwością rzuciła się do tańszej i pić zaczęła kantońską herbatę, znajdując w niej te same przymioty co i w przywożonej z Kiachty, handel tego ostatniego miasta zawisł nad przepaścią. Jarmark Niżno-Nowogrodzki jasno wykazał tę zmianę, udowadniając, że jeżeli rzeczy pójdą dawnym torem, to za dwa lata Kiachta ostatecznie upadnie i zamiast 200 tysięcy skrzyń wyprawianych dotychczas do Rosyji, będzie wywozić jedynie 20 tysięcy i to tylko dla Syberyi; summa płacona za przewóz herbaty, dosięgająca 2 milionów rubli srebrem i rozchodząca się między tamtejszym ludem zmniejszy się do nadzwyczaj małej ilości, do drobnej cyfry, której nawet określić niepodobna. Cóż się stanie z przemysłem rossyjskim mającym poprzednio taki obfity rynek zbytu?

Lecz powróćmy znowu do herbaty, której przeciż naszą pracę poświęcamy—i udajmy się do miejscowości bezpiecznych, ciepłych i błogosławionych do stron rodzinnych tego ziela, w samą głąb' małego znanego Niebieskiego Państwa.

Ojczyznę herbaty, jak wiadomo, jest prowincya Fucz-lan, mianowicie Fuczan (albo raczej Fudzian). Tam to rośnie kwiatowa herbata, zielona, żółta i bajchowa głównie rozgałęziona w handlu. Ten ostatni gatunek baj-hao, nazwany został tak przez kupców Sansińskich handlujących z Rosyją, zapewne z powodu podobieństwa popielatych jego kwiatów do barwy opierzenia ptaka *aisty* posłannika niebios, wedle pojęć chińskich. Na miejscu herbata ta nazywa się *U-i-cza*, od góry leżącej o dwie mile od miasta Dżuń-gań-hian, w pobliżu którego rośnie ta herbata na gruncie białawym, lekkim i piaszczystym i zbieraną bywa z drzew nasadzonych na sposób winnej maciny. Prócz tego drzewkom herbacianym nie dozwalają wynosić się więcej nad sążeń w górę i rozrastać się, a co 4 lub 5 lat przesadzają je w tym celu, ażeby liść nie stał się grubym, chropowatym i ostrego smaku. Pozostawione bez dozoru drzewa dorastają do 12 stóp, stają się pięknymi, lecz z nich herbaty już mieć niepodobna. Kwiat powinien być podobnym do róży, białego lub blade-różowego koloru.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Osobiste wspomnienie z życia Maryi Somerville. — Niewiasta polska, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — Sofonisba, tragedia, (dalszy ciąg), przekład Józefa Grajnera. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd pismieniczny, przez Kazimierza Kaszewskiego. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Na wschodzie, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.